

Guy de Téraumont.

Tajemniczy zbrodniarz.

(Tłum. Marya Toczyska).

Lapipie więc szedł krok w krok za swoim „człowiekiem”, jak go nazywał, kiedy zauważył ku wielkiemu swojemu zdumieniu, że człowiek jakiś jego znowu śledził od pewnego czasu.

— Albo może ten także opiekuje się moim piaszkiem — pomyślał Lapipie — bo czegoż by chciał odemnie.

Okazało się, że się nie mylił. Bystrem spojrzeniem obrzucił towarzysza i zaraz się przekonał, że ten nie należy do policji.

Zresztą człowiek ten okazywał wielki brak wprawy i nie mógł być fachowcem z zawodu. Odkrycie to jeszcze większym zdumieniem przejęło agenta.

Nowa ta osobistość ubrana była bez zarzutu. Musiał to być jeden z tych światowych bandytów obijających się na bulwarach wielkich miast, wypatrujących dobrego interesu do zrobienia. Pozornie nie różnił się niczem od innych mężczyzn przechodzących ulicą, ale wprawne oko agenta dostrzegło rys charakterystyczny i niezawodzący nigdy.

Z radości nad tem odkryciem Lapipie zatarł energicznie ręce i zagwizdał pod nosem.

Złodziej śledzący drugiego złodzieja! Sytuacja stawała się całkiem interesująca i komiczna.

Lapipie przypomniał sobie w tej chwili jak pewnego dnia łowiąc zaciekle ryby w rzece, pochwylił wielką rybę, zajęta pożeraniem mniejszej, która dała się uchwycić na haczyk wędki. I teraz to porównanie zabawiło go szczerze.

Tymczasem pan Forster zeszedł już z bulwarów i przechodził spokojnie przez ulicę Chaussée d'Antin kierując się wolnym krokiem ku ulicy Clichy, gdzie skręcił w poprzeczną, niewielką uliczkę Biot.

Tu zatrzymał się przed hotelem mającym wygląd skromny, lecz dosyć dostatni, a noszącym godło „Hotel Książąt Portugalskich” przez czytał napis i wszedł w bramę.

W pięć minut później indywiduum, które go śledziło, wsunęło się za nim do środka.

— Doskonale, doskonale — mruknął Lapipie — który z rogu ulicy des Dames przypatrywał się temu. Byłem tego pewny. Będzie tu mieć miejsce zręczne złodziejstwo przy pomocy chloroformu albo innego narkotyku, i to dzisiejszej nocy jeszcze. Jak widzę dodał uśmiechając się z zadowoleniem ubije tu dwie zwierzyny przy jednym zręcznym strzale i będzie to ukoronowanie mojej kariery policyjnej.

Przeczekaj czas jakiś i widząc, że nikt nie wychodzi z hotelu, sam tam się udał.

Właścicielowi przedstawił się odrazu jako agent policji, co tenże przyjął z najwyższym uszanowaniem kłaniając się do ziemi.

— Dwóch ludzi weszło tu przed chwilą do pana? — zapytał osirolapipie.

— Tak jest panie inspektorze...

— Doskonale. Czy zażądali pokojów?

— Tak jest, panie inspektorze.

— Gdzie pan umieścił tego, który przybył pierwszy?

— W pokoju numer 10.

— A drugiego?

— Pokój 11, panie inspektorze.

— Obok?

— Naprzeciwno.

— Dobrze. Czy zapisali się w książce meldunkowej? — indagował dalej Lapipie.

— Panie inspektorze, u mnie panuje zawsze wzorowy porządek.

— Nie przyszedłem tutaj spisywać protokołu — przerwał szybko agent. — Proszę pokazać mi książkę.

Hotelarz zgięty we dwoje podsunął mu rejestr, patrząc z lękiem w jego twarz.

— Lapipie czytał: „Józef Durand, rentier z Bordeaux, a pod spodem: Juliusz Dupont, prywatny z Nantes.

— Ah! Ah! Durand!... Dupont. Znam kilka rodzin noszących to nazwisko... Powinienem być być przygotowany na to — rozśmiał się wesoło — że te zuchy nie będą na tyle naiwni aby podać tutaj prawdziwy swój stan cywilny.

— I cóż oni mówili do pana? — zwrócił się po chwili do hotelarza.

— Pierwszy z tych panów oznajmił mi, że chce wypocząć i rozkazał sobie podać o godzinie siódmej kolację i dwa jajka na miękko.

— Dobrze, a drugi?

— Drugi nic nie mówił.

— Naturalnie.

— Dlaczego naturalnie? — ośmielił się wtrącić hotelarz.

Lapipie brwi zmarszczył.

— To jest już moja rzeczą panie hotelarzu — odparł wyniośle.



Lapipie czytał...

— Najmocniej przapraszam pana inspektora, pozwolę sobie tylko...

— Wyjść — przerwał Lapipie, nie zwracając uwagi na jego wyjaśnienia. Czy jest tylko to jedno wejście dodał wskazując bramę.

— Tak, panie inspektorze.

— Doskonale. Ma pan służącego?

— Tak jest, panie inspektorze.

— Gdzie jest?

— Na ślubie swojej siostry — powróci jutro rano. Tymczasem ja...

— Coraz lepiej... Ah! słówko jeszcze. Czy jest tu telefon?

— Niestety, panie inspektorze.

— Dlaczego nie ma?

— Bo my się nim nigdy nie posługujemy. Mój interes nie jest rozległy i przez ten telefon tracę czterysta franków rocznie. Poprzednik mój popełnił to szaleństwo, a ja...

— Hotelarz urwał nagle, cofając się ze zdumieniem.

Lapipie słuchając go uważnie, szybkim ruchem oderwał siwą brodę, zasłaniając mu pół twarzy, poczem wyciągnął z kieszeni jasną perukę z faworytami tego samego koloru i przybrał się w nią zrecznie. Następnie wyciągnął jeszcze z kieszeni małe pudełeczko i momen-

talnie poczerwienił sobie nos, rozjaśnił brwi i podkreślił oczy, zmieniając się w ten sposób nie do poznania.

Po skończeniu tej operacji zdjął marynarkę. — A teraz panie hotelarzu, proszę o biały fartuch — zawołał wesoło.

Po chwili Lapipie nie różnił się niczem od typowego służącego hotelowego.

— No, wszystko już w porządku — mruknął z zadowoleniem, przeglądając się w ręcznym lusterku. — Pan zaś uda się teraz do kawiarni na partyjkę domina z przyjaciółmi i proszę się wcale nie kłopotować czasem.. albo jeżeli pan nie uznaje tego rodzaju zabawy, to może się pan udać do swojego pokoju na górze. Zawołam, kiedy mi pan będzie potrzebny. Ale proszę przedtem nie pokazywać się wcale...

Podobne zaproszenie równało się rozkazowi... Hotelarz nie śmiał więc oponować i skłonił się na znak posłuszeństwa.

— Dobrze panie inspektorze. Mam nadzieję, że będzie pan ze mnie zadowolony.

I nie oglądając się, szybko zwrócił się na schody.

— Przynajmniej będę miał pewność — pomyślał — że dzisiejszej nocy dom mój będzie dobrze strzeżony. Żeby tylko te sprawy policyjne nie popsęły mi opinii w dzielnicy.

Lapipie kiedy pozostał sam, usiadł na krześle w portierni i zwykłym sobie ruchem zatarł sobie ręce z radości.

I otóż obydwoh w samotrzask pochwycił — szepnął z zadowoleniem. Trzymam ich w ręce i jestem spokojny, że mi nie umkną. Ten mój złodziej z Chicago jest podwójnie strzeżony, przeze mnie i przez tamtego.

Wszystko tak się ułoży jak przewidywałem. Do godziny siódmej nie mam nic do czynienia, tylko się muszę uzbroić w cierpliwość. — A z tamtym pogadam z przyjemnością kiedy mu zaniosę zamówiony kotlet i jaja. W tej chwili rozmyślanie Lapipie przerwane zostało.

Członek jakiś w jasnym ubraniu w kraty, który już od pewnego czasu obserwował hotel, po krótkim namyśle wszedł do bramy, a ujrzawszy Lapipie'a zapytał?

— You don't speak english?

Lapipie rozłożył szeroko oczy i odparł lekko zaskoczony.

— Nie rozumiem.

— Ach, — zawołał z rozdrażnieniem przybyły — how bothering!... I can't speak french!

Wyciągnął z kieszeni słownik francusko-angielski i posługując się nim z trudem wymówił.

— Pokój!

— Dobrze.

— Not dear — nie drogi.

— Dobrze.

— Ja jechać jutro... tak... jutro... dworzec St. Lazarz.

Doskonale.

— Bagaż moja... dworzec Orleans. Pan je może iść szukać.

— Tak.

Lapipie był wściekły.

— Jutro rozmówi się z hotelarzem — myślał. — Ale mnie ten Anglik zaczyna już denerwować. Pozbędę się go najprędzej. Do stu piorunów! Nie mam szczęścia. Przybywa do hotelu raz jeden porządny klient i trzeba pecha, że ja muszę z nim mieć do czynienia.

Jednakże utrzymując się dalej w swojej roli Lapipie podszedł do tablicy, gdzie wisiały wszystkie klucze od pokojów, wziął jeden na chybił trafił i patrząc na numer wyciśnięty na blasze, zapytał się na uprzejmość.

— Czy zechce pan pójść za mną. Dam panu numer 14. Bardzo ładny pokój.

Ale Anglik, który nie rozumiał ani słowa nie ruszył się z miejsca.

Lapipie więc skinął na niego ręką i rzekł rozkazująco.

(Ciąg dalszy nastąpi).